

Stary Piernik fahrt nach Deutschland

To były piękne dni. Wystawa EuDDC koło Drezna.

Wyjazd z Polski 4.00, to lubię najbardziej, puste drogi, fryzura (rzadka) na żel, Beata śpi z psem z tyłu, z przodu Mirka, która nic nie mówi, ideał podróży.

Od Wrocławia autostrada, więc ognia i jedziemy. Dojechaliśmy do Drezna przed planem i pakujemy się w ulicę, której nazwę mam w zgłoszeniu na wystawę ... i dojeżdżamy do końca. Olśnienie – hotel nie jest w Dreźnie tylko w miejscowości Weinbuealah. Wpisałem w nawigację i po godzinie dotarliśmy na miejsce. Jak pięknie! Hotelik położony w lesie, Małgosia Sowińska macha do nas balkonem, miejsce parkingowe prawie pod drzwiami, brakuje tylko gościa z piwem i golonką.

W hotelu mówią po angielsku, wielu gości z psami, po prostu bajka! Pokój jak cię mogę, nie za duży, ale wystarczający, żeby rozłożyć posłanie dla naszej Dupki. Teraz pora na zbadanie możliwości pozyskania alkoholu. Jest bar, w którym podają piwo i i wszystkie inne drinki, bo hotel ma korty tenisowe, pole do mini golfa i sugeruje gościom spożycie po wysiłku. Ponieważ bardzo się zmęczyłem wtarganiem walizek na pierwsze piętro przy pomocy windy, pierdyknąłem po tym wysiłku dwa piwa z nalewaka.

Już się wydawało, że wieczór nie przyniesie nowych atrakcji, aż tu nagle impreza u Małgosi z porterówką jako tematem przewodnim, kabanosy, ogórki kwaszone, po prostu „Placówka”. Jako, że to Europa – palenie na zewnątrz. Poszliśmy z Mirką na dymka, a tu jakiś gość nas molestuje i mówi do nas po niemiecku. A ja do niego „Ich weiss”, jak Hucul z CK Dezerterów, że niby rozumiem. W końcu ustaliliśmy, że nasz interlokutor jest wiceprezesem klubu doga w Szwajcarii. Jak starzy Niemcy pogadaliśmy sobie o tym, co jutro będziemy chcieli zdobyć na wystawie i dlaczego z balkonu zwisają łańcuchy (plastikowe). Tak mi się przynajmniej wydaje, że o tym rozmawialiśmy, bo mój niemiecki nie jest najwyższych lotów. Gdyby był, na pewno wyrecytowałbym „Lorelei”, ale, że pamiętam tylko 4 pierwsze wersy, dałem spokój. Potem wróciliśmy do imprezowego pokoju i dokończyliśmy porterówkę. Nie obyło się oczywiście bez sprośnych kawałów i obrobienia tyłka wszystkim, którzy w tym pokoju nie byli.

Następnego dnia pojechaliśmy na wystawę o 7.30. Poprosiliśmy Wandę o poprowadzenie nas na wystawę, żeby się nie zgubić, w związku z czym Wanda wcisnęła pedał gazu i tyle ją widzieliśmy. Dotarliśmy jednak jakoś na parking, ale okazało się, że to nie ten parking, wystawcy muszą drałować około jednego kilometra, żeby wejść na teren wystawy. Jakoś dałem radę, chociaż nie jestem piechurem. Teren wystawy był piękny!!!. W ogrodach zamku było mnóstwo pięknej trawy, na której można się było rozłożyć z psem, dodatkowo od Igora dostałem parasol, pozostało mi tylko rozłożyć krzeselko i napawać się. Z tyłu staw z karpiami, które co chwila wyskakiwały ponad wodę, z przodu wystawa psów, butelka Coli, brakowało tylko cygara. Gastronomia nie zachwycała. Kawa była podła, a do jedzenia kielbasa w bułce, przy czym kielbasa miała długość 30 cm a bułka 10.. Tak to już na ogół jest z wystawami w plenerze, które dla psów są o niebo lepsze niż te w hali, ale pod względem obsługi wystawców o niebo gorsze, taki jest po prostu wolny rynek – jak się nie oplaca to się nie robi. Ciekawość wzbudzała toaleta urządzona w baraku na kółkach wzór „Drzymała”. Tym małym zręcznym rondem literackim nawiązującym do prozy czasu zaborów kończę przypieprzenie się do organizatorów wystawy.

Jeśli chodzi o wyniki naszej sukki Dupki, to bez rewelacji, ale spodziewaliśmy się, bo Dupa zaczęła się garbić i nic na to nie poradzimy. Wszyscy, mam nadzieję, myśleli o wieczorze w Weinbuealah – kolacji i zabawie – jak to zwykle na EuDDC.

Spodziewaliśmy się, że stworzymy polski stolik z dużą liczbą wystawców, ale trochę nie wyszło, ktoś tam komuś coś powiedział, ktoś komuś nie powiedział i siedzieliśmy przy wielkim stole z wolnymi krzesłami, o które co chwilę pytali się Niemcy, a ja, mówiąc im cały wieczór, że czekamy na znajomych, wyszedłem, jak zwykle na palanta i ksenofoba. Po kilku słowach wstępu ze strony

organizatorów (wielki „respect” za powtarzanie wypowiedzi po angielsku i francusku, dzięki czemu w ogóle cokolwiek zrozumieliśmy) przystąpiono do części oficjalnej przedstawiającej historię klubu dog a niemieckiego w Niemczech z pokazem zdjęć psów. Jako, że polski stolik zaopatrzył się w alkohol, przy dogach pochodzących z Niemiec, ale pozostających u polskich właścicieli, rozlegał się aplauz z naszej strony, czasem tylko zwykłe „Aaaaaa”, czasem „Hurra”, potem „trzeba było zostawić cięte ucho!”, nie wiem czy nie padło też „Na Kowno!”. Ogólnie zrobiło się wesoło, tylko z sąsiednich stolików padały czasem zadziwione, czasem zgorszone spojrzenia z powodu naszego entuzjazmu. Ot taki „Podwieczorek przy mikrofonie”.

Potem nastąpiła część mniej oficjalna, czyli żarcie. Niestety, podobnie, jak w Szwajcarii w 2007 roku, wielkość bufetu nie odpowiadała ilości gości, więc natychmiast zrobił się tłok i kolejka do koryta. Po 15 minutach trochę się uspokoiło, przyznając, jedzenie było całkiem dobre. Tłok przy bufecie nie skłaniał jednak do ponownych wizyt, więc szaleństwa nie było.

Później, ku naszemu zaskoczeniu, zaplanowana została część najmniej oficjalna – występ miejscowego kabaretu. Wiem, nie znamy języka, więc nie śmiesz nas żarty, których nie rozumiemy. Ale na występie kabaretu, tak przynajmniej mnie się wydaje, powinny rozbrzmiewać salwy śmiechu, nawet rzadko, ale jednak. Tu nic takiego nie nastąpiło. Owszem, były oklaski tubylców, ale jakby z zawahaniem, czy numer już się skończył, czy nie. Zadziwiające dla mnie było to, że żadna z postaci (krasnoludek, czerwony kapturek, dziadek czy inne takie tam) nie mówiła swoim głosem, ale próbowała naśladować głos dziewczynki czy starego dziada, tak, jak robi się to w bajkach dla dzieci i to nie najwyższych lotów. Być może jest to maniera niemieckiego kabaretu, a może tylko kabaret był słaby. Szału, ogólnie rzecz biorąc, wśród Niemców również, nie było. Za to na koniec występu, ni z gruchy ni z pietruchy odbył się pokaz chippendalesów z gołymi dupami (finezjnie pokazanymi w wyciętych z tyłu spodniach) co na chwilę rozbudziło damską część towarzystwa. Nie wydaje mi się, że właściciele dup byli szczególnie atrakcyjnymi mężczyznami, ale dupy zrobiły furorę. Jeśli ktoś rozumiał tak zwane „a propos” tego pokazu to proszę o maila na [„wystawa@goladupa.com”](mailto:wystawa@goladupa.com). Oczywiście było mnóstwo wniosków nieformalnych czym można by przebić (w sensie niedosłownym) męskie dupy na EuDDC w Polsce w 2012. A na koniec zaplanowano część taneczno – klubową. Dwuosobowy zespół, nawet nienajgorzej radzący sobie z gitarą, klawiszami i wokalem, pojechał przebojami Modern Talking itp. To przepełniło kielich goryczy, zerwali się więc, bo wieczór był nierozwojowy i poszliśmy spać.

Drugi dzień wystawy był rano nieco chłodniejszy, ale pogoda bez zarzutu, więc szybko zrobiło się dosyć ciepło. Jak poprzedniego dnia Igor obdarował nas parasolem i do dziś czuję się świnią, że nie pomogłem mu odnieść go do samochodu. Swój ból wewnętrzny łagodzę pitym właśnie (w trakcie pisania) drinkiem.

Postanowiłem, że spędzę dzień aktywnie robiąc zdjęcia. W końcu kupiliśmy sobie monstrualny obiektyw z wyjeżdżającą lufą (czy jak tam fachowo się nazywa ta część) i można było poudawać profesjonalistę. Ciekawa sprawa – gość z teleobiektywem czuje się kimś ważniejszym i bez żadnych oporów wpiernicza się na ring, co więcej, inni ludzie widząc taką armatę usuwają się z linii „strzału” i uczestniczą w tym udawaniu. Fotografowałem co popadnie, udając, że jestem kimś ważnym i nastawionym do zdjęć profesjonalnie, a wyszło jak aparatem Zorka 5. Czytałem niedawno felieton Jeremy'ego Clarksona, który wcześniej ode mnie zauważył, że po wejściu na rynek aparatów pozwalających na wykonanie 3 milionów zdjęć w ciągu jednego dnia nie ma możliwości obejrzenia tego całego szajsu i dziewięćdziesiąt procent idzie do kosza bez uważnego obejrzenia. Ale próżność posiadacza „lufy” pozostaje zaspokojona.

Tym razem stawka na ringu było nieco większa, więc nasza Dupka zjechała w ocenę w dół, bo garbiła się jak znak zapytania, mimo starań Paulinki. Na szczęście wszystko wygrała Irimi, więc honor kraju został uratowany. Słyszałem wielu Niemców komentujących ocenę prywatnie, między sobą, wszyscy mówili, że to prawidłowy wybór., że mocna, że szyja, że stop i takie tam. Nie znam się na tym, ale rzeczywiście Irimi jest nie do zagięcia., stoi na wystawie jak Dzierżyński na cokole. W stawce z Irimi była też suka wystawiana przez Alberto Malagutiego, więc wszyscy Polacy zaczęli dopingować „Alberto, Alberto” w trakcie biegu wokół ringu (i tak wszyscy spodziewali się, że wygra Irimi) ale adresat dopingowania nie był tym, jakby, zachwycony, przynajmniej nie wskazywała

na to jego mina (posiadam dowody w postaci zdjęć).

Na koniec odbyły się wybory BIS-a i różne towarzyszące (nie jestem w tym do końca zorientowany, więc nie będę się mądrzył, co było wybierane), w trakcie których, chyba była to kategoria najlepsza „hodowla”, wystąpiły (jako handlerki) Paulinka i Ola w sukienkach typu „mała czarna” przed kolano (dowody również na zdjęciach). Oczywiście wygrały, a spiker wystawy nie omieszkał wspomnieć, że Prezes (a może vice-prezes) klubu doga niemieckiego w Niemczech wręczy nagrodę handlerkom z prawdziwą przyjemnością.

Zaimponowały mi puchary za pierwsze miejsca, niektóre były prawdziwymi arcydziełami sztuki „szklano – plastycznej”. Puchary za niższe miejsca jak u nas, ale większe.

I tak się zakończyła ta piękna (bez ironii) wystawa. Na koniec, jak zawsze, pojawia się lekki smutek, że to już, że następna dopiero za rok, zwłaszcza, że wystawa zbiega się z końcem lata. Tym razem cieszymy się jednak, bo ta następna będzie w Polsce, o czym przypomniał pokaz plakatu na przyszłoroczną wystawę z udziałem Małgosi Sowińskiej. Mam też nadzieję, że nasze EuDDC będzie nieco weselsze, bo tu sobie boków nie pozrywałem, było, z wyłączeniem wieczoru u Małgosi, sztywno, zbyt elegancko jak dla prostego starego piernika.

Goście się rozjechali, my zostaliśmy robiąc sobie dzień urlopu. Rano spotkaliśmy się na śniadaniu z Dainorą z Litwy, która też została dzień dłużej. W drodze powrotnej nie odmówiłem sobie zakupów, tym razem celem było niemieckie piwo, które uważam za najlepsze na świecie. Nie będę ukrywał, że poszukiwałem konkretnego piwa, a mianowicie „Padebornera”, który pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku był rozlewany do charakterystycznych butelek z krótką szyjką i był dostępny w Berlinie Zachodnim. Niestety, takiego wała, chociaż odwiedziliśmy kilka marketów, widocznie za daleko do miasta Paderborn. Blisko jest stamtąd natomiast do miasta Redeberg więc skończyło się na zakupie Radebergera. Jeśli ktoś posiada jakieś wiadomości na temat piwa Padeborner jest uprzejmie proszony o przekazanie informacji do Klubu Doga Niemieckiego oddział w Łodzi lub Warszawie lub bezpośrednio do mnie. Można też przekazać piwo, ale już tylko bezpośrednio mnie.